

Rozdział I



Rozdział I

„Przeczytaj nam to z naszej, katolickiej Biblii!”

Wysoki, szczupły mężczyzna przywitał się uprzejmie z rodzicami, a także z nami, dziećmi – co w owych czasach dla dzieci było niesłychanie nobilitujące, i rozpoczęła się rozmowa. Pan Wądolny opowiadał o latach spędzonych z dala od kraju, o powodach, które skłoniły go do powrotu i o tym, jak się wiedzie jego rodzinie. Pytał też o powojenne przeżycia naszych rodziców i o naszą obecną sytuację... My, dzieci, siedząc cichutko w swoim kątku, z wypiekami na twarzach słuchaliśmy tej rozmowy. W czasach gdy nie było telewizji, a nawet radio należało do rzadkości, wizyta gościa z *Wielkiego Świata* była bardzo ekscytującym przeżyciem! A poza tym był to człowiek, który – jak się to u nas potocznie mówiło – przywiózł z sobą do kraju „nową wiarę”... W jakimś momencie rozmowa zeszła na tę właśnie sprawę

- Mówią o tobie, że zakładasz nową wiarę – zagaił nasz tato.
- Też już o tym usłyszeliście? – uśmiechnął się gość. To prawda, ale... Ale to wcale nie jest nowa wiara, ale stara, biblijna; taka, jaką wyznawali pierwsi chrześcijanie. Potem ona została odrzucona przez Kościół katolicki i zapomniana, a my staramy się teraz przypomnieć ją ludziom... Jeśli zechcecie posłuchać, opowiem wam o wszystkim...

Chcieliśmy, jak najbardziej. A wtedy pan Wądołny wydobył ze swej torby dużą, oprawioną w skórę Księgę i spytał, czy wiemy, co to jest takiego. – Niestety, rodzice nie mieli na ten temat wielkiej wiedzy; któż wtedy, w połowie lat pięćdziesiątych XX wieku w wiosce leżącej na obrzeżach woj. krakowskiego, wiedział coś bliższego o Piśmie Świętym?... Owszem, co niedzielę słuchaliśmy w kościele fragmentów Ewangelii, które ksiądz odczytywał na kazalnicy z podobnej Księgi, a potem całował ją, zamykał, odkładał na bok i wygłaszał kazanie. Ale żeby taką świętą Księgę mógł nosić w torbie zwykły, prosty człowiek?... żeby mógł ją czytać i tłumaczyć? – To wówczas nikomu z nas nie mieściło się w głowie!

A tymczasem na naszych oczach pan Wądołny otworzył swoją Biblię, kartkował ją i odczytywał fragmenty. Biegłość, z jaką to robił, świadczyła, że dobrze zna jej treść.

Jednak to, co czytał, było dla nas wielkim zaskoczeniem i budziło coraz większą konsternację i niepokój!... Dziś, po latach, trudno mi precyzyjnie przytoczyć jego słowa. Pamiętam jednak, że mówił – a swoje wypowiedzi dokumentował cytatami biblijnymi – że dla chrześcijanina podstawową sprawą jest znajomość Pisma Świętego, bez którego człowiek musi błędzić w sprawach wiary; tak mówił Jezus Chrystus, i tak mówili Apostołowie!... Potem zwrócił uwagę na Boże przykazanie zabraniające bałwochwalstwa, a więc czynienia wszelkich obrazów i posągów oraz czczenia ich:

„Nie czyn sobie obrazu rytego, ani żadnego podobieństwa rzeczy tych,

które są na niebie wzgórze, i które na ziemi nisko, i które są w wodach

pod ziemią. Nie będziesz się im kłaniał, ani im będziesz służył;

bom Ja Pan Bóg twój, Bóg zawistny w miłości, nawiedzający nieprawości ojców nad syny, w trzecim i czwartym pokoleniu tych,

którzy mnie nienawidzą. A czyniący miłosierdzie nad tysiącami tych,

którzy mię miłują i strzegą przykazania mego” (2 ks. Mojżeszowa 20,4-6).

Stwierdził, że dla Pana Boga jest rzeczą obrzydliwą, gdy widzi jak ludzie czczą rzeźbione drewniane kloce, albo wizerunki <bogów> ze srebra i złota:

„Ale bałwany ich są srebro i złoto, robota rąk ludzkich.

Usta mają, a nie mówią; oczy mają, a nie widzą.

Uszy mają, a nie słyszą; nozdrze mają, a nie wonieją.

Ręce mają, a nie macają, nogi mają, a nie chodzą,

ani wołają gardłem swoim.

Niech im podobni będą, którzy je czynią, i wszyscy,

którzy w nich ufają.”
(Psalm 115,4-8).

W końcu – to pamiętam bardzo ostro – odnosząc się do budowli katolickich kościołów, w których <wieczna lampka>, świecąca drżącym, czerwonym światełkiem, zgodnie z naukami jakie odbieraliśmy na katechezie, dowodziła stałej obecności Boga, przeczytał dwa fragmenty z księgi Dziejów Apostolskich, które nas wręcz zaszokowały. Najpierw słowa pierwszego chrześcijańskiego męczennika – Szczepana, a potem słowa

apostoła Pawła:

**„Ale on Najwyższy nie mieszka w kościołach ręką uczynionych,
jako prorok mówi: Niebo jest stolica moja**

a ziemia podnózek nóg moich;

Cóż mi za dom zbudujecie, mówi Pan,

albo które jest miejsce odpoczynienia mego?

Izali ręka moja tego wszystkiego nie uczyniła”?

(Dzieje Apostolskie 7,48-50);

**„Bo który uczynił świat i wszystko, co na nim, ten będąc Panem
nieba i ziemi, nie mieszka w kościołach ręką uczynionych.**

Ani rękoma ludzkimi chwalony bywa,

jakoby czego potrzebował, ponieważ On daje wszystkim żywot,

i oddech, i wszystko.”

(Dzieje Apostolskie

17,24.25).

Wyraz twarzy naszych rodziców dowodził, że – mówiąc kolokwialnie – mają dość! Dziś zastanawiam się, czy przed jakąś ostrą, niechętną panu Wądołnemu reakcją, nie powstrzymało ich jedynie to, że był on przyjacielem taty. No i zaproszonym gościem!

– Wiesz co – powiedział do niego tato – na dziś starczy nam tego!... A potem, z jakimś dziwnym błyskiem w oczach, zapytał:

– Czy mógłbyś nas odwiedzić za tydzień?

– Naturalnie – odpowiedział nasz gość.

– No, to wtedy sobie pogadamy... – powiedział tato.

Ten tydzień rodzice wykorzystali, aby zdobyć „nasze, katolickie Pismo Święte”. Takie z kościelnym *Imprimatur*, opatrzone stosownymi pieczęciami i podpisami dostojników Kościoła rzymskokatolickiego! Bo Świadkowie – uważali rodzice – mają najpewniej jakieś swoje, sfałszowane Pismo! Jest niemożliwe, by w prawdziwej Biblii, były takie herezje!...

To mnie posłali do pani Biel (<Bielki> – jak mówiła mama), która mieszkała na skraju sąsiedniej wioski. Bo wiedzieli, że ona na ostatnich misjach kupiła sobie Pismo Święte. Trochę zdziwiona naszym nagłym zainteresowaniem – pouczony przez rodziców, którzy nie chcieli sprawy nagłaśniać, nie powiedziałem jej o wizycie pana Wądołnego – wyjęła z szafy zawiniętą w płótno Księgę i podała mi ją, zalecając: – Nieś ostrożnie!... Uszczęśliwiony, niemal bijąc się piętami w plecy pędziłem do domu!

To nie była cała Biblia, lecz Nowy Testament w przekładzie ks. W. Kowalskiego. Ale o tym wtedy oczywiście nie wiedziałem. Przyniosłem ją do domu i oddałem mamie, a gdy w sobotę, jak co tydzień, tato wrócił z pracy na Śląsku, mama z dumą pokazała mu Księgę. Teraz już jedynie pozostało czekać na pana Wądołnego... Niech tylko przyjdzie!

Przyszedł punktualnie. Kiedy usiadł za stołem, tato sięgnął na półkę, wziął do ręki Biblię i opanowując lekkie drżenie głosu, powiedział:

– **No to teraz przeczytaj nam to wszystko z naszej, katolickiej Biblii!**

Z zapartym tchem czekaliśmy na to, co teraz nieuchronnie musiało nastąpić. W wyobraźni widziałem, jak pan Wądołny

blednie, a potem drżącymi rękami przewraca kartki, daremnie chcąc znaleźć heretyckie wersety, które czytał przed tygodniem ze swojej Księgi, i poprzez które chciał poderwać nasze zaufanie do jedyne go prawdziwego Kościoła rzymskokatolickiego! Wyobrażałem sobie, że w końcu, gdy ich nie znajdzie (bo przecież nie może znaleźć!), wstanie, weźmie płaszcz i... zniknie, by się już więcej nie pojawić!...

A pan Wądolny spojrział i uśmiechnął się, wziął od taty Księgę i obejrzał ją z zainteresowaniem. Chwilę zatrzymał się na pierwszych stronicach, gdzie były informacje o tłumaczu oraz nazwisko biskupa udzielającego *Imprimatur*, a potem – otwierając w różnych miejscach – przeczytał te same co przed tygodniem fragmenty! Następnie otworzył jeszcze swoją Biblię i czytając obydwie wersje, porównywał ich brzmienie i sens. Zwrócił naszą uwagę na to, że niektóre wyrazy w zdaniach są inne, natomiast ich sens i przesłanie jest takie samo! – To była klęska! Nasza klęska! spoglądaliśmy po sobie bezradnie... – I co teraz?...

Rozdział II